



### **Po co się rzeczy dzieją...?**

*Doświadczamy wielu zjawisk, uczestniczymy w tysiącach sytuacji – jedna po drugiej, dzień po dniu, chwila po chwili – po co?*

*W jakim celu?*

*Co tak trudno nam zauważyć, przyjąć?*

*Trudno nam uznać, że nie są to setki jakichś sytuacji, które się odgrywają, lecz wciąż jedna i ta sama sytuacja w setkach odmian, odsłon.*

*Doszukujemy się jakichś nowinek, uzasadnień, wyjaśnień – zaczarowani teoretyczną różnorodnością zdarzeń, a zaczyna do nas docierać, że być może informacja, którą mamy dostrzec jest wciąż ta sama? Może na tym polega nasz kłopot, że tego nie chcemy dostrzec? Może na tym polega magia naszej ślepoty?*

*Może te teoretycznie różne rzeczy dzieją się właśnie po to w wielu kontekstach, żeby było nam łatwiej dostrzec, że to wciąż ta sama „rzecz” (nas gnębi)?*

*Myślimy, że mamy do załatwienia tak wiele, że chyba zaczynamy siebie podziwiać, a jest tylko jedna sprawa do załatwienia. Jedna i wszystko uleczone.*

*Trudno nam uznać, że to aż tak proste, ponieważ nasza dotychczasowa męka straci uzasadnienie. To może być dość trudne dla nas. Tyle czasu poświęconego na jedną i tę samą rzecz – trudne, to naprawdę może być trudne.*

*Dodatkowa kwestia polega na tym, że kontekstów wciąż przybywa.*

*Może po to, byśmy wreszcie mieli jej (tej jednej rzeczy) serdecznie dość? Samo życie zmusza nas do zajęcia się tym, co ważne. Jeżeli tego nie zrobimy – przytłoczy nas całkowicie. Wiem, to dziwnie brzmi. Poza tym, kiedy uporamy się z tą (rzeczą), inna zajmie jej miejsce, objawi się. Jedna po drugiej, wszystkie wypłyną, tylko po to, by je uwolnić. I znów będzie jedna (rzecz) w wielu kontekstach. Sytuacja się powtarza i powtarza. Wydaje się, że to niesprawiedliwe lub nawet uciążliwe, ale w rzeczywistości jest to prezent dla nas. Spójrzmy na to w ten sposób, że życie nie „zwala” nam tego wszystkiego na głowę w jednej chwili. To dopiero mogłoby nas przerosnąć. To dopiero mogłoby być przykre.*

*Dlaczego, dlaczego, dlaczego?*

*Dlatego, że zaplanowaliśmy dla siebie szczęście, radość, błogość.*

*Wszystko, co blokuje nam dostęp do naszego przeznaczenia musi być uwolnione, musi zostać uwolnione przez nas samych. Nasze szczęście – nasza sprawa – nasze zadanie. Wiem, jesteśmy ambitni.*

*Oczywiście może być tak, że każda „prosta sprawa” ma wiele poziomów, wiele elementów składowych. Odkrywamy je czasem powoli, kolejno. Jeden ujawnia się poprzez drugi i dlatego mamy wrażenie natłoku.*

*Można porównać to do kolorowej sześcienniej kostki. Kostka jest jedna, ale jej ściany mają różne barwy. Kiedy patrzymy od tej strony – jest zielona, a z drugiej czerwona, z jeszcze innej niebieska, itd. Myślimy, że czerwonym należy się zająć tak, a niebieskim tak. W ten sposób budujemy wrażenie, że to wiele spraw – choć to jedna sprawa.*



*Czasem mamy dostęp do zielonej, a czasem do białej ściany i to też może mieć znaczenie. Chcemy załatwić sprawę po kawałku, a nie da się „załatwić” kostki, „załatwiając” jedną jej ścianę.*

*Tacy z nas „gracze”. Odwracamy tę kostkę na wszystkie możliwe sposoby i jedynie w tym stajemy się mistrzami.*

*A jak potrafimy się złościć?*

*Siedzimy z kimś nad tą samą kostką, lecz my widzimy czerwone, a on niebieskie, więc udowadniamy sobie własne racje – zamiast się dogadać. I w ten sposób jedynie marnujemy czas. Jedno mówi, że „problem” jest czerwony, a drugie, że „niebieski”. Umyka uwadze, że to jest szczęśliwa kostka. Nie możemy się dogadać ponieważ mówimy jedynie o dwóch różnych ścianach, choć wciąż mamy jakieś dziwne poczucie, że mówimy o tym samym. Tak, tak właśnie jest – mówimy o tym samym, a dogadać nijak się nie możemy – biedacy.*

*Więc od nowa, jeszcze raz. „Teraz zrobmy to dobrze. Siądźmy raz jeszcze.” Ups..., to samo, choć inaczej. Teraz biała i czarna ściana – i tak w kółko. Może zbyt często siadamy naprzeciw siebie?*

*Dodatkowo umyka naszej uwadze, że nie patrzymy na tę samą kostkę. Każdy ma bowiem swoją kostkę przed oczami. To tak, jakbyśmy położyli obok siebie dwie kostki, które stykają się jedną ze ścian o tym samym kolorze. Więc ten sam kolor jest zawsze ukryty przed nami. Może również dlatego tak trudno znaleźć nam wspólny język na opisanie dziejących się zjawisk. (Jeśli przenosiła z kostką jest dla Ciebie trudna, to połóż przed sobą dwie kostki do gry tak, by stykały się jedynekami (tą samą liczbą) – to taka sytuacja.) Dzieje się tak w relacjach.*

*Nie mamy wspólnej kostki, każdy ma swoją. Możemy mieć dokładnie ten sam kolor na jednej ze ścian, ale nie całą kostkę. Jest pewna korespondencja, ale i pewna różnica. Ta korespondencja jest potrzebna, byśmy mogli odkryć ową różnicę i aby każdy sam zajął się swoją kostką. Potrzebujemy rezonansu z kimś, ponieważ to gwarantuje wzbudzenie impulsu do rozwoju. Więc uruchamiamy się wzajemnie, ale każdy ma zająć się sobą. Jesteśmy współzależni, ale nie uzależnieni od siebie. Zawsze gdy wchodzimy w relacje, nasze kostki dopasowują się ścianą o tym samym kolorze. To nas „łączy”, a wszystko po to, byśmy dali sobie możliwość do nowych odkryć na swój temat – odkryć dotyczących pozostałych ścian. Zauważ ilu ludzi omijasz zupełnie obojętnie. Po prostu nie macie wspólnego koloru na żadnej ścianie – nic w tej chwili nie może was połączyć, więc się mijacie. Może się również zdarzyć, że z osobą szczególnie bliską twojemu sercu macie więcej tych samych kolorów na ścianach. Dla przykładu wszystkie oprócz jednego. W takiej sytuacji jest więcej niż pewne, że kostki ułożą się w takiej pozycji, że na pewno będziecie patrzeć na jedyny różniący się kolor. To oznacza, że został do załatwienia jeden, ostatni aspekt. Śmiem twierdzić, że jest to najbardziej denerwująca sytuacja. Generalnie wszystko już dzieje się jak w bajce, a raz na jakiś czas bajka zmienia się w piekło. Może to zabrzmie nieco dziwnie, ale życzę ci takiej właśnie sytuacji, bo to oznacza, że jesteście blisko pełnego Szczęścia, całkowitej Wolności, bezgranicznej Jedności i pełnego przepływu Miłości. To najtrudniejszy emocjonalnie moment, ale i najważniejszy.*

*Oszukujemy się. Wmawiamy sobie, że jesteśmy słabi, lecz któż słaby tyle zdołałby znieść? Któż słaby podjąłby takie wyzwania? Trzeba bardzo wiele odwagi, by pozwolić sobie na bycie tak słabym. A nam się wydaje, że nie jesteśmy odważni? Oszukujemy się. Wmawiamy sobie słabość właśnie wtedy, gdy jesteśmy najsilniejsi. Przewrotnie, gdybyśmy zrezygnowali ze swojej siły, najszybciej odkrylibyśmy to, czego odkryć nie potrafimy.*

*Przytoczę słowa Mandeli – warto głęboko o tym pomyśleć.*

*„Naszym najgłębiej zakorzenionym lękiem jest to, że jesteśmy silni ponad miarę.  
To nasze światło, a nie nasza ciemność najbardziej nas przeraża.*



Zapytujemy siebie: „Kimże jestem, aby być błyskotliwym, pięknym, utalentowanym i wspinałym”  
Zaprawdę, kimże jesteś, aby nie być takim?  
Jesteś dzieckiem Boga. Sztuczne umniejszanie Twojej wartości nie służy światu.  
Nie ma nic oświeconego w umniejszaniu, a więc inni ludzie nie powinni czuć się niebezpiecznie przy tobie.  
Urodziliśmy się po to, aby zmanifestować chwałę Boga, który jest w nas.  
I gdy pozwalamy naszemu światłu świecić, nieświadomie dajemy innym przyzwolenie, aby robili to samo.  
Gdy jesteśmy wyzwoleni z naszego lęku, nasza obecność wyzwala innych.”

Nelson Mandela

*Myślmy, że nasze wycofanie, nasze lęki, nasze oszustwa, nasze uniki to wyraz słabości. Nic z tych rzeczy. Jest wręcz odwrotnie. Tylko człowiek, który lubi ryzyko może sobie na to pozwolić. Do tego właśnie potrzeba siły.*

*„Kłamię, bo nie jestem odważny” – mówimy. Bzdura. By skłamać potrzeba dokładnie tyle samo odwagi, co do mówienia prawdy, a może nawet trochę więcej – ryzyko jest bowiem większe. Kogo my chcemy nabrać?*

*Przyglądamy się swoim maskom, nie sobie. Oto następna przyczyna naszych problemów. Zajmujemy się maskami, zamiast je wszystkie usunąć i poznać prawdę. Chcemy je „zreperować”. Maski nie ma sensu reperować – nawet najpiękniejsza maska jest oszustwem. To wszystko na ten temat.*

*Maski w nas wrosły do tego stopnia, że uwierzyliśmy, że są nami. Lecz maski to „narośle” na strupach, które powstały po zranieniach. Dlatego zrzucanie masek tak boli.*

*Ale kłopot największy polega na tym, że trudno nam rozpoznać, co jest maską. Więc dla ułatwienia powiedzmy to wprost – wszystko jest maską. Problem bierze się stąd, że utożsamiliśmy się z tym, co nami nie jest – z myślami, z ciałem, z emocjami. Naszym celem jest odkrycie naszych masek, ale by móc to zrobić, musieliśmy przyoblec maskę naszego ciała, by tu w ogóle być. Przyszliśmy tu w masce i to jest główna nasza trudność. Od początku jesteśmy w masce, a gdy podrośliśmy nieco, to było już za późno, by sobie o tym przypomnieć.*

*Boimy się, że stracimy twarz? Po co? Wiadomo, że nie mamy twarzy. Nie można stracić czegoś, czego się nie posiada. Mamy jedynie maskę. Można też powiedzieć, że już nie mamy twarzy, ponieważ przykryliśmy swoją twarz maską.*

*Siedzimy w swoich maskach i w ten sposób rezygnujemy z tego, co obficie wokół nas, co w nas. Rezygnujemy z siebie dla iluzji o sobie.*

*Więc czym jesteśmy? Co nie jest maską?*

*Jesteśmy Miłością – Duszą.*

*Czekamy na miłość z zewnątrz – niestety, tam jej nie ma. Miłość zawiera się w nas, my jesteśmy Miłością.*

*Nie wierzymy, że zasługujemy na Miłość. Gdybyśmy wierzyli, sami byśmy siebie miłowali, a nie robimy tego, więc jak Miłość może skądkolwiek przyjść. Lecz nawet gdyby przyszła, nie pozwolimy jej wejść, ponieważ myślimy, że nie zasługujemy na miłość. Błędne koło. Tak samo jest z większością spraw.*

*Nawet nie zauważamy, że to nie są nasze wierzenia, że to nie są nasze myśli. Więc czyje? Tego, czym myślimy, że jesteśmy – naszej maski. To ona nie zasługuje na Miłość i ona to*



wie. Wciąż nam mówi całą prawdę, a my pomyliliśmy informację od kogoś ze swoim własnym głosem.

Maska mówi: „nie zasługuję na Miłość” – oczywiście, przecież jest iluzją.

Maska mówi: „wyrzuc mnie, już mnie nie potrzebujesz”.

Maska mówi: „sama nie spadnę”.

Jacy z nas głupcy. Maska nam mówi prawdę o sobie, nie o nas. Miłość jest w nas, a my cierpimy, bo nie wierzymy w to, w co powinniśmy uwierzyć i wierzymy w to, w co nie powinniśmy wierzyć. Gdzie się podział nasz rozum?

Karmimy się iluzją, że ktoś jest czemuś winien, a prawda jest taka, że winnych nie ma. Wmawiamy sobie, że ktoś nam coś złego uczynił, a nie dostrzegamy, że to my sami zadajemy sobie wszelkie ciosy. Sami budujemy własne łamigłówki i tylko po to, by je rozwiązać. Niczemu innemu to nie służy. Tym bardziej warto załatwić to tak szybko, jak się da. Warto dodać, że jedynie sami to sobie utrudniamy.

W jaki sposób?

To dość oczywiste. Nie stać nas na szczerłość wobec samych siebie – to wszystko. Mamy czynić wglądy, a to ma sens jedynie w atmosferze szczerości. Więc jeśli jej nie ma podróże wewnętrzne nie mają większego znaczenia ani skutku. No..., może poza dodatkową frustracją i złością. Jednak im więcej złości, tym więcej niechęci i bólu. Im więcej złości tym mniej chęci, by próbować ponownie.

Złość utrudnia. Żeby się ochronić, żeby jej nie czuć wkładamy następną zbroję na te które już mamy. Więc ciężaru przybywa. Celem jest pozbyć się zbroi i masek, a efekt jest taki, że ich przybywa.

Oczywiście jesteśmy mistrzami w znajdowaniu wyjaśnień kto i dlaczego jest temu winien, a prawda jest taka, że sami to sobie robimy. To jest pierwsze, co należy zrozumieć. To nasza sprawa. To oznacza wziąć odpowiedzialność za swoje życie – za całe swoje życie, a nie tylko za tę miłą jego część. Lubimy myśleć, że my stwarzamy sobie to, co nas raduje, a inni stwarzają nam to, co nas boli i niszczy. Bzdura. Każdy sam sobie wszystko stwarza.

Kiedy to przyjmujemy, zaczniemy zastanawiać się w jaki sposób to sobie robimy. Akceptacja tego faktu jest niezbędna, by móc coś z nim zrobić. Akceptacja jest zawsze pierwszym krokiem do poszukiwania rozwiązań, bowiem wtedy dopiero zanika impuls do bezsensownej obrony. Celem tej obrony jest oczywiście ochrona siebie przed złem, przed skrzywdzeniem. Kłopot jednak polega na tym, że nie ma żadnego krzywdzącego tam, gdzie myślimy, że jest. Na zewnątrz nie ma krzywdzicieli. Latami angażujemy mnóstwo energii w to, by znaleźć skuteczny sposób na zamknięcie dostępu do siebie, ale zupełnie umyka naszej uwadze fakt, że zawsze dostęp się znajdzie. Dlaczego? No śmiało, wyciągnijmy ten wniosek, to nam ulży.

Mozemy być zupełnie szczelni i nic z zewnątrz do nas się nie dostanie, ale zagadka w tym, że ten „atak” zawsze nadchodzi od wewnątrz. Ktoś jest zawsze obok więc myślimy, że to jego sprawka – dość wygodne, ale on nie ma z tym nic wspólnego i dopóki tego nie zauważymy, to będziemy przeżywać to „dejavu”. Naprawdę nam się wydaje, że wszyscy nas znają na wylot? Jak inaczej mogliby nas skrzywdzić, gdyby tego nie wiedzieli. Jak znaleźliby nasz słaby punkt? Co żyjemy wśród jasnowidzów i jesteśmy jedynymi niewidzącymi, czy co?

A może spójrzmy od drugiej strony. Kiedy nas ktoś obarcza winą za jakąś krzywdę, często nawet nie wiemy o co mu chodzi. Mówimy: „to nie ja, ja nie wiem o co ci chodzi”. To wciąż się dzieje. Wyciągnijmy wreszcie wnioski. Skoro my nie robimy tego innym, to co nakazuje nam myśleć, że oni robią to nam?



*Ludzie pojawiają się na naszej drodze i powodują, że możemy przyjrzeć się czemuś w sobie. Bądźmy im wdzięczni, zamiast się złościć na nich.*

*To trzeba pojąć. Nie ma żadnych nauczycieli – wszyscy jesteśmy uczniami we Wszechświecie. Ten, który nazywa siebie nauczycielem, separuje się od innych. Kluczem jest wymiana. Kiedy dzielimy się wzajemnie swoim doświadczeniem, uczymy się, również ten, którego nazywa się nauczycielem jest uczony. Wszyscy uczymy się od siebie. Potrzebujemy jedynie przewodnictwa, bo każdy potrafi myśleć samodzielnie, samodzielnie odkrywać. Więc nie ma nauczycieli, są jedynie ci, którzy ułatwiają uczenie się – tym dla siebie wzajemnie mamy być.*

*Więc, wróćmy do tytułowego pytania:*

***Po co się rzeczy dzieją?***

***Rzeczy dzieją się po to, by podjąć wreszcie decyzję.***

*Jaką?*

*A tego to Ci już nikt nie powie – sam musisz to odkryć.*

*Powodzenia.*

**KefAnn**